



Ludwik Wiśniewski

Sygnatura notacji: **N0220**

Data urodzenia: **25.10.1936 r.**

Data nagrania: **02.03.2009 r.**

Miejsce nagrania: **Lublin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Mateusz Wyrwich**

Czas nagrania: **część I: 87 min, część II: 53 min, część III: 58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**

część I z III



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ludwik Wiśniewski: Nazywam się Marian Wiśniewski, tak jest w dowodzie, natomiast w zakonie dano mi inne imię - Ludwik, stąd powszechnie uchodzę, znany jestem pod imieniem Ludwik Wiśniewski. Jestem dominikaninem. Urodziłem się na Zamojszczyźnie, w Skierbieszowie. To jest taka gminna wieś, Skierbieszów, 25 października 1936 roku. Skierbieszów to jest, może tak powiem, związany z dwoma prezydentami, z Ignacym Mościckim, Mościccy mieli tam swój majątek, rodzice, przynajmniej ojciec Mościckiego jest tam pochowany i drugi prezydent to jest aktualny prezydent niemiecki, który w czasie okupacji tam się urodził. Oni byli nasiedleni. Skierbieszów był wysiedlony. Zresztą pierwsza miejscowość wysiedlona na Zamojszczyźnie to właśnie był Skierbieszów. Tam właśnie natychmiast przywieziono, chyba z Rumunii, Niemców, wśród których byli rodzice obecnego prezydenta niemieckiego i on tam się urodził.

Mateusz Wyrwich: Czy pamięta ojciec wojnę? Jak ona wyglądała w oczach dziecka 7-letniego?

Ludwik Wiśniewski: Cokolwiek pamiętam. To znaczy, pamiętam dudnienie tanków i wydaje mi się, że pamiętam, nigdy tego nie sprawdzałem, czy to jest rzeczywiście fakt, mam w każdym razie w uszach strzały, podobno przy dworze w [niezrozumiałe, 00:01:56] był na takim pagórku, tam gdzieś przy dworze miano strzelać do Żydów. Ale ja byłem wtedy oczywiście bardzo mały, więc małemu chłopcu oszczędzano jakichś takich informacji daleko idących.

Mateusz Wyrwich: Rok 1946, ma już ojciec 10 lat, idzie do szkoły podstawowej.

Ludwik Wiśniewski: 1945 rok.

Mateusz Wyrwich: W 1945, tak?

Ludwik Wiśniewski: Kiedy manifest ten PKWN był? Czyli poszedłem do szkoły w 1944 roku. Myśmy zostali... Niemcy od nas odeszli w 1944 gdzieś tam w lipcu i już szkoła po wakacjach rozpoczęła się. Ja byłem spóźniony rok. I pierwszy rok zrobiłem... pierwszą i drugą klasę, i nadrobiłem ten spóźniony rok. Szkoła podstawowa w Skierbieszowie.

Mateusz Wyrwich: Czym się rodzice zajmowali ojca?

Ludwik Wiśniewski: Moi rodzice to są rolnicy. Rolnictwo.

Mateusz Wyrwich: Gospodarowali na dużym gospodarstwie?

Ludwik Wiśniewski: To nie było duże gospodarstwo. To było gospodarstwo ze siedem hektarów. Hodowali, tak jak się hodowało niewielką ilość, kilka krów tam było zawsze, ja pasłem krowy jako dziecko. O, to była zupełnie odrębna historia. Tuż po wojnie było masę ugorów. W związku z tym te krowy się pasła w najróżniejszych miejscach i to nie było tak, że każdy osobno pasł, ale tak pasła się razem z dziewczynami, z chłopakami i było wiele zabawy, i wiele radości.

Mateusz Wyrwich: Czy rodzeństwo ojciec miał?

Ludwik Wiśniewski: Ja mam siostrę, jedyną siostrę, starszą ode mnie.

Mateusz Wyrwich: A proszę mi powiedzieć, rok 1946, czy pamięta ten 10-latek obecność wojsk sowieckich? Czy na przykład w 1945?

Ludwik Wiśniewski: Ja pamiętam doskonale moment wejścia Rosjan, ale to był rok 1944. Zbliżał się front. Myśmy byli wysiedleni. Wysiedleni byliśmy na sąsiednią wioskę. Kiedy wysiedlano naszą miejscowość to, że tak powiem, ludzi podzielono na trzy kategorie. Część wysłano do Oświęcimia, część wysłano na roboty do Berlina, a część przesiedlono na sąsiednią wioskę jako siłę roboczą dla nasiedlonych tam Niemców. I mój ojciec, zresztą było badanie, bo oni w szkole, zdaje się, badali, te swoje jakieś tam badania przeprowadzali, mój ojciec został przesiedlony na sąsiednią wioskę. Myśmy tam żyli w takim strasznym ścisku, ale w każdym razie tam osiedliśmy. Z chwilą, kiedy zbliżał się front, wszyscyśmy wiedzieli, tej nocy uciekliśmy do lasu. W lesie kopało się jakieś schrony, więc siedzieliśmy w tych schronach i rano odnaleźli nas. Rano gdzieś już zjawili się Rosjanie, szukający, jak zawsze rosyjski żołnierz, zawsze szuka jedzenia, więc gdzieś tam szukający po tych różnych wioszczkach jedzenia i to pamiętam, to spotkanie pamiętam.

Mateusz Wyrwich: Do szkoły podstawowej już zaczął ksiądz chodzić w 1945 roku, w 1944 wręcz czy w 1945, proszę powiedzieć.

Ludwik Wiśniewski: W 1944 roku do szkoły podstawowej.

Mateusz Wyrwich: To już była szkoła podstawowa normalnie oficjalnie prowadzona przez państwo lubelskie, czy tak?

Ludwik Wiśniewski: Przez państwo, natomiast pierwsze lata to jednak były lata, kiedyśmy oficjalnie parami jeszcze chodzili do kościoła. Była lekcja religii. Nauczyciele prowadzili nas do kościoła i pamiętam w którymś momencie, w tej chwili nie powiem w którym roku, nastąpiło załamanie. Nastąpiło załamanie. Kierownik szkoły ożenił się... był wdowcem, ożenił się z nauczycielką zresztą, która miała męża i to spowodowało, że jakiś ten kontakt między szkołą a kościołem zaczął się zmniejszać. Niemniej, religię miałem oczywiście aż do ostatniej, siódmej klasy. Z tych różnych wspomnień swoich dziecięcych, to pamiętam, że pierwsze komunie to nie były tak uroczyste. Nikt nie robił jakichś wielkich przyjęć, ale pamiętam, że na pierwszą komunię zemdlałem i wyniósł mnie z kościoła kierownik szkoły, pan Gawłowski.

Mateusz Wyrwich: Zemdlał ksiądz z głodu czy z wrażenia, z emocji?

Ludwik Wiśniewski: Nie mam pojęcia, z czego to było.

Mateusz Wyrwich: Czy było jakieś przyjęcie w domu po komunii? Kubek mleka z miodem czy owoce? Proszę powiedzieć, czy był to dom rodziców zamożny, czy też nie?

Ludwik Wiśniewski: Myślę, że to był dom, nasz dom taki średniozamożny. To znaczy, ojciec miał swoją taką ambicję. Głodu nigdy u nas nie było. Nie pamiętam, żeby był głód, ale to było tuż po okupacji. Nie pamiętam żadnego przyjęcia w domu, w dniu pierwszej komunii. Pewnie coś tam było, ale ja nie pamiętam niczego. To były czasy, kiedy... Myśmy w szkole w tych pierwszych latach piłki nie mieli. Mieliśmy piłkę zrobioną, szmacianą piłką się wtedy grało. Po wojnie w tych pierwszych latach po prostu nic nie było.

Mateusz Wyrwich: Więc moje pytanie zapewne będzie nie na miejscu o prezent, jaki ojciec dostał na pierwszą komunię. Czy był?

Ludwik Wiśniewski: Był jakiś obrazek. Natomiast nie przypominam sobie, żeby jakkolwiek prezent dostał. Ale być może, że dostałem, ja nie przypominam sobie.

Mateusz Wyrwich: Czy ojciec pamięta jakichś przyjaciół, znajomych ze szkoły podstawowej?

Ludwik Wiśniewski: Pamiętam oczywiście kolegów, koleżanki, pamiętam.

Mateusz Wyrwich: Czy jakieś kontakty jeszcze ksiądz z nimi utrzymuje?

Ludwik Wiśniewski: Właściwie nie, nie utrzymuję kontaktów. To są za czasów, gdy niektórzy już nie żyją, także

z tej mojej klasy. Od czasu do czasu gdzieś tam jestem w tej rodzinnej miejscowości, to pozdrowimy się z daleka i to właściwie wszystko. Nikt z moich kolegów, z moich koleżanek chyba w jakiś taki szczególny sposób nigdzie się nie zapisał i właśnie taka jest sytuacja.

Mateusz Wyrwich: A czy ksiądz sobie przypomina nauczycieli z ówczesnych lat szkoły podstawowej?

Ludwik Wiśniewski: Ja oczywiście sobie nauczycieli przypominam i doskonale pamiętam, kto mnie uczył pisać. Pani Jankowska, była taka nauczycielka, którą bardzo żeśmy lubili. Natomiast z tamtego okresu, z tamtych czasów to dla mnie dwie postacie, dwóch księży, są dosyć ważne. Ksiądz Żydowo, który był proboszczem przez dwa lata jedynie. Ja byłem wtedy, to była chyba moja trzecia i czwarta klasa. Przeniósł go w czasie wizytacji ówczesny biskup Wyszyński z pewnymi chyba perypetiami, bo wiem, że on miał jakieś takie... dużo żalu do biskupa Wyszyńskiego, ale on, kiedy już wstąpiłem do zakonu, pisał do mnie listy, piękne, cudowne i zawsze go uważałem za takiego swego troszkę ojca duchownego, a drugi ksiądz, który zresztą po księdzu Żydowie przyszedł do Skierbieszowa, to jest ksiądz Jakub Kopciński. W czasie jego proboszczowania ja poszedłem do szkoły średniej do Lublina, później także wstąpiłem do zakonu, właśnie w czasie, kiedy on był proboszczem. On zresztą przepowiedział wcześniej, że i tak pójde do zakonu.

Mateusz Wyrwich: Do zakonu, a nie do seminarium duchownego. Dlaczego? Skąd ta przepowiednia?

Ludwik Wiśniewski: Ja jako dziecko, chłopiec młody, poznałem jakichś zakonników i bardzo ich zniechęciłem. Od dziecka wiedziałem, że będę księdzem. W związku z czym poszedłem do szkoły, tak zwanego liceum biskupiego w Lublinie. Ale z postanowieniem, że będę diecezjalnym księdzem. I oto gdzie zamieszkać? Do domu daleko. Dominikanie prowadzili internat, małe seminarium. I prawie przypadkiem, może nie przypadkiem znalazłem się u dominikanów. I wtedy jak znalazłem dom u dominikanów z postanowieniem, że broń Boże do nich nie wstąpię, ale to 14 lat chłopiec. Natomiast mój ówczesny proboszcz od razu powiedział mi: „On i tak do nich pójdzie”.

Mateusz Wyrwich: Wracając jeszcze do szkoły podstawowej i do tych dwóch księży. Czy możemy powiedzieć, że byli to dwaj pierwsi, których możemy nazwać autorytetami?

Ludwik Wiśniewski: Myślę, że rzeczywiście to byli księża, którzy byli dla mnie autorytetami.

Mateusz Wyrwich: Proszę ojca, właśnie, który to był rok, kiedy ojciec wstąpił do tego małego seminarium duchownego?

Ludwik Wiśniewski: Był to rok 1950. To małe seminarium było w Lublinie. Dyrektorem małego seminarium i właściwie taką postacią zasadniczą był ojciec Szczepan Jaroszewski. Ojciec Szczepan Jaroszewski odegrał zasadniczą rolę w moim życiu. Właściwie to był ten człowiek, który nie tyle mnie skłonił do wstąpienia, ale który stał się jakimś takim swoistym znakiem, poprzez którego, który... nie wiem jakiś pomost jakby, który spowodował, że ja do zakonu poszedłem.

Mateusz Wyrwich: Czy jakieś jeszcze autorytety utkwili, czy osobowości z tego niższego seminarium utkwili ojcu?

Ludwik Wiśniewski: Przeorem wtedy w Lublinie był ojciec Edmund Sochacki, późniejszy prowincjał, do którego chodziłem zresztą do spowiedzi, którego później pytałem, czy sądzi, że mogę pójść do zakonu i myślę, że to jest akurat ten człowiek, o którym trzeba powiedzieć. Natomiast myśmy do szkoły... Myśmy mieszkali na Złotej w małym seminarium, natomiast do szkoły chodziliśmy na Krzywą, do liceum biskupiego. I wychowawcą naszej klasy był ksiądz Tatarczak, późniejszy prałat. On umarł w Chełmie Lubelskim. Otóż wtedy Tatarczak, Józef Tatarczak, był młodym księdzem i niesłuchanie lubianym. Nasza klasa była ogromna, ta VIII a. On był niesłuchanie lubiany i myślę, że on także był tym człowiekiem, w którego jakoś byliśmy zapatrzeni. Ja też byłem zapatrzony. Później jako dziekan, proboszcz, dziekan w Chełmie kiedyś zapraszał mnie i prowadziłem u niego rekolekcje.

Mateusz Wyrwich: Rok 1950 i szalejący stalinizm w Polsce. Czy w jakiś sposób ojciec, czy seminarium, odczuwało tę sytuację reżimu totalitarnego?

Ludwik Wiśniewski: To jest bardzo ciekawe. Ja mam zupełnie białą plamę. Tak jakbym w ogóle nic o tym nie wiedział. Myśmy... Nie wiem, chroniono nas przed tym, nie wiem, trzeba by zapytać już w tej chwili nieżyjących wychowawców, jak oni to zrobili, że to w ogóle do nas nie docierało.

Mateusz Wyrwich: Z kim wówczas ojciec był na roku? Czy są to dominikanie, o których wiemy dzisiaj, których znamy, których pamiętamy?

Ludwik Wiśniewski: Najbardziej znanym dominikaninem, moim kolegą, który już wtedy był w małym seminarium, jest ojciec Konrad Hejmo. Ale też tutaj znany na Służewiu ojciec Jerzy Kotara. Kilku innych, też obecny... A, nie...

Mateusz Wyrwich: Kończy ojciec seminarium, małe seminarium duchowne, w którym roku?

Ludwik Wiśniewski: Nie kończę małego seminarium. W tamtych czasach, właśnie w tych czasach powojennych i stalinowskich utarło się, trzeba by zajrzeć do jakichś dokumentów, dlaczego to się utarło. Nie tylko w naszym zakonie, ale także gdzie indziej, przyjmowano do zakonu nie po maturze, ale po tak zwanej małej maturze, po IX klasie. I myśmy, ja razem ze swoimi kolegami, wstąpiłem do nowicjatu po IX klasie. Miałem wtedy niecałe 16 lat. Przyjechaliśmy do nowicjatu w Poznaniu i później dopiero po nowicjacie uzupełnialiśmy szkołę średnią i robiliśmy - to też w sposób specyficzny - maturę.

Mateusz Wyrwich: Nad czym specyfika polegała? Czy chodziliście do szkoły średniej wieczorowej, zaocznej, czy też zdawaliście egzamin konkursowy?

Ludwik Wiśniewski: Nie. W Poznaniu mieliśmy jakby prywatną klasę. Przychodzili przedwojenni nauczyciele i uczyli nas. Przerabialiśmy zwyczajnie program. Nie było możliwości zdania matury gdzieś tam w jakiejś państwowej szkole.

W związku z czym stworzono komisję egzaminacyjną ze starych przedwojennych nauczycieli. Protokołowano naszą maturę z nadzieją, że jak się zmienia czasy, to może nam to kiedyś także i państwo uzna. W ten sposób zdawaliśmy maturę w roku 1955. Ale rok później, w 1956, w dwa lata nastąpiły przemiany. Byliśmy już wtedy w Krakowie na studiach i zaistniała możliwość zrobienia matury eksternistycznie, na pół eksternistycznie. I z tej możliwości skorzystaliśmy. Chodziliśmy przez rok na takie konsultacje swoiste do liceum na Grobli. To jest I liceum Nowodworskiego. I to zakończyło się następną, drugą już z kolei maturą.

Mateusz Wyrwich: Rok 1956, bardzo ważne wydarzenie historyczne. Jak ojciec to przyjął, będąc w seminarium w Poznaniu?

Ludwik Wiśniewski: Nie, myśmy byli wtedy w Jarosławiu. Ja byłem w Jarosławiu po maturze. Część kleryków, niektóre roczniki wysłano do Jarosławia, ponieważ w Krakowie nie mieściliśmy się w klasztorze. W związku z czym dwa lata filozofii zostały ustalone, że będą w Jarosławiu i myśmy byli w Jarosławiu. Ja pamiętam doskonale ten moment przełomowy, ale muszę powiedzieć, że... ciągle jednak, tak jak dzisiaj patrzę, jak dzisiaj sobie przypominam, to wszystko przeżywało się jakby pod kloszem. Troszkę tak jakby to były wydarzenia nie całkiem dotyczące nas wszystkich. Oczywiście pamiętam, jakieś tam gazety docierały, któreśmy oglądali, gdzieś tam Gomułka, ale... Mówię... Troszkę jakby się patrzyło na to z innej planety.

Mateusz Wyrwich: Czyli poprzez pryzmat formacji duchowej, która się odbywała czy to w Jarosławiu, czy w Poznaniu, czy w Krakowie? Czy tak można powiedzieć?

Ludwik Wiśniewski: Chyba tak, to znaczy, była atmosfera pewnego strachu. Ja pamiętam, że w Poznaniu, chyba w tych miesiącach, kiedy gdzieś tam w Czechach, na Węgrzech likwidowano klasztory. Myśmy codziennie odmawiali, klękali przed ołtarzem Matki Boskiej i odmawiali tak zwaną litanie dominikańską. To jest taka długa litania i jest pewna tradycja w naszym zakonie, że ona jest zawsze skuteczna. Więc był ten moment jakiegoś strachu, że mogą nie wiadomo co z nami zrobić. Był ten moment. Natomiast... Robiliśmy te swoje studia, żyliśmy zakonem i jakoś nie bardzo wtedy żyliśmy tym, co się dzieje w kraju.

Mateusz Wyrwich: Święcenie kapłańskie w roku 1961. Gdzie?

Ludwik Wiśniewski: Święcenia kapłańskie w Krakowie. W tamtych jeszcze czasach, my dzisiaj... W tamtych to były tak zwane święcenia tonsura, tak zwane mniejsze święcenia. Później subdiakoniat, diakonat i kapłaństwo. Otóż wszystkie te mniejsze z tonsurą do subdiakonatu od Wojtyły. Diakoniat i kapłaństwo od biskupa Groblickiego, który wtedy został nowym biskupem pomocniczym w Krakowie. Rok 1961. Wtedy u nas w zakonie znów był taki obyczaj, że nas święcono rok przed ukończeniem studiów. Kończyliśmy w 1962 roku dopiero i dopiero w 1962 roku otrzymaliśmy jurysdykcję do spowiadania i do wszystkiego, natomiast w 1961 roku byliśmy święceni, odprawialiśmy mszę, ale jeszcze nie uczestniczyliśmy, że tak powiem, w pełni w tym duszpasterskim życiu przez rok.

Mateusz Wyrwich: Proszę mi powiedzieć, proszę księdza, jakby ksiądz podsumował te lata w seminarium, czym

one były oprócz formacji? Czy właśnie też możemy mówić tam o ludziach, którzy wywarli znaczny wpływ na ojca?

Ludwik Wiśniewski: Więc nasze studia... My chyba nie mieliśmy bardzo wybitnych profesorów. Poziom tych studiów ja czasem oceniałem bardzo krytycznie. Niekiedy aż mnie żałość brała, że jednak one jakby nie były, te lata pod względem tym właśnie naukowym, nie były wykorzystane do końca. Natomiast z ludzi, z ojców przede wszystkim, których może należałoby wyróżnić, to po pierwsze wyróżniłbym magistra. Ten sam magister, który nas przyjmował do nowicjatu, także nas wprowadzał do kapłaństwa. Ojciec Włodzimierz Kucharek. Natomiast z profesorów był ktoś, z kim tak byłem jakoś blisko, to był nasz historyk już nieżyjący, ojciec Kielar. Pewnie także można było i o innych mówić, ale jeszcze raz mówię, ciągle mam jakieś takie wrażenie, że jakby zakon zbyt mało dbał o poziom studiów w tamtym czasie. Ja przed chwileczką wspominałem o ojcu magistrze Kucharku. Może nie wszyscy wiedzą, zdają sobie z tego sprawę, jak to jest. Otóż w zakonie wychowawca i nie tylko wychowawca, właściwie dyrektor, że tak powiem, nowicjatu, czy ewentualnie tego zespołu kleryków nazywa się magistrem. Magister jest... jakby przeorem. Wszystko się załatwia z magistrem. Oczywiście, jeśli chodzi o kleryków, o studentów to jest drugi człowiek, który pełni funkcję decydującą, ale w zakresie nauki, to jest rektor czy regens. Natomiast jeśli chodzi o życie, to tym człowiekiem, który kieruje wszystkim, który decyduje o życiu kleryka, jest magister nowicjatu, czy ewentualnie tak to się nazywa, studentatu.

Mateusz Wyrwich: Na jakim etapie dojrzałości był wówczas ksiądz według własnej oceny, będąc w seminarium?

Ludwik Wiśniewski: To jest bardzo trudno określić, na jakim etapie dojrzałości się było. Natomiast ja mogę powiedzieć o pewnym szczególe. Otóż jako kleryk wydawało mi się, że powinniśmy się przygotowywać do wydawnictwa. To ja byłem motorem. Założyliśmy swoje własne pismo. Ileś tam... oczywiście to było na maszynie przepisywane. Gdzieś w archiwach to powinno być. Nazywało się to „Czarne z białym”. Gdzie jakieś artykuły, jakieś swoje spostrzeżenia, próbowaliśmy właśnie tymi spostrzeżeniami się dzielić. Ja byłem jakoś bardzo... Tak mi się wydawało, że musimy przygotowywać się do odpowiedzialnego pisarstwa. Musimy się przygotowywać do zrobienia kiedyś wydawnictwa. Wydawnictwo oczywiście powstało, ale później już bez mojego udziału. Jednym z kleryków, którzy bardzo mocno się w to zaangażowali, a później także zaangażowali się w tworzenie „W drodze”, był ojciec Konrad Hejmo.

Mateusz Wyrwich: To było w seminarium w Krakowie? Ta myśl o powstaniu, o potrzebie organizowania pisma, czy w Poznaniu?

Ludwik Wiśniewski: To się działo w Krakowie. Musiałbym dokładnie jeszcze w tej chwili policzyć. Gdzieś tam dwa lata czy trzy lata przed święceniami kapłańskimi. To się działo w Krakowie. Myśmy się starali, takie było założenie, żeby każdy klasztor dostał, żeby ojcowie wiedzieli, o czym myślą klerycy. Ale równocześnie też staraliśmy się, żeby i ktoś z ojców znalazł się, żeby coś nam napisał, żeby był ten... Takie było założenie, żeby jakiś taki przepływ myśli był. I żebyśmy jakby... Bo to były te czasy, gdzie myśmy nie mieli żadnego pisma. Żeby była ta świadomość, że to jest jednak nasze, także dominikańskie powołanie, posługiwanie się piórem, pisanie i wydawanie.

Mateusz Wyrwich: A co wówczas czytaliście, proszę ojca? Czy to był „Tygodnik Powszechny”, czy też prasa paxowska? Co wówczas docierało do was? Czy to do Poznania, czy do Krakowa. Kraków to już oczywiście inna

kategoria, bo to jest po 1956 roku, ale co wcześniej i co później z tego, co sobie ojciec przypomina.

Ludwik Wiśniewski: Przypominam sobie, że [niezrozumiałe, 00:31:36] był „Tygodnik Powszechny”. W pewnym momencie „Znak”. I chyba to wszystko. Myśmy nie mieli normalnych gazet.

Mateusz Wyrwich: Byliście chronieni przed „Trybuną Ludu”, przed „Gazetą Krakowską”, przed „Życiem Warszawy”?

Ludwik Wiśniewski: „Gazeta Krakowska” chyba do nas docierała. Wydawało się, że nie ma potrzeby, żebyśmy tam rozczytywali się w... tak.

Mateusz Wyrwich: Czy miał wówczas ksiądz ulubionych autorów, czy też z zakresu literatury pięknej bądź historii, czy nauk społecznych?

Ludwik Wiśniewski: Jeśli chodzi o moje zainteresowania, może tak powiem, przez kilka lat wydawało mi się, że być może to pójdzie w kierunku historii i chyba ze dwa lata, wakacje poświęcałem na to, ażeby po różnych parafiach i po różnych diecezjach w kuriach biskupich szukać materiałów dotyczących bractw różańca świętego. To do dzisiaj mam jakieś takie jeszcze notatki dotyczące bractw właśnie różańca świętego, wydawnictw. Kręciło się to przez kilka lat wokół tych spraw. Po czym doszedłem do wniosku, że chyba jednak tą dziedziną, którą powinienem się zajmować, jest teologia dogmatyczna. I w tym kierunku zacząłem coś tam robić. Natomiast jeśli chodzi o autorów, myśmy przede wszystkim czytali książki, które w jakiś sposób korelowały, w jakiś sposób były związane z tym cośmy studiowali. To jest pytanie o kształtowanie się osobowości, to jest bardzo trudno powiedzieć, natomiast trudno powiedzieć, określić wprost. Natomiast ja może bym na takie dwa momenty zwrócił uwagę. Było bardzo wiele rozmów, było bardzo wiele dyskusji wśród nas, wśród kleryków, na temat, jakie są nasze zadania. Jakie są zadania zakonu. I to nasze piśmiśko w jakimś sensie było troszeczkę odpowiedzią, czy w każdym razie zapowiedzią tego, jak to sobie wyobrażamy. Przy tym, i to jest, wydaje mi się, charakterystyczne, przy tym odwoływaliśmy się i jakoś tak byliśmy trochę wychowywani jednak w tej tradycji zakonu i jak sobie przypominam, to jednak tak odwoływaliśmy się do tego, co już było w ciągu tych 700 lat. W którymś tam momencie jednak ten Bartłomiej de Las Casas wśród Indian stał się dla nas ważny. W którymś momencie ten święty Jacek, który gdzieś tam na wschód, okazało się, był dla nas ważny. Nie mówiąc, powiedzmy, o świętym Tomaszu czy także świętej Katarzynie ze Sieny. Więc to myślenie było... Zresztą myślę, że ono jest ciągle charakterystyczne, jak czasem z młodymi klerykami naszymi w tej chwili rozmawiam, to oni też oczywiście ciągle myślą o tym, czy dyskutują także, gdzie jest miejsce naszego zakonu w kraju czy w świecie.

Mateusz Wyrwich: Powracając, proszę ojca, do pisma jeszcze raz. Coście chcieli przekazać w tym piśmiem, czy był jakiś zespół redakcyjny, czy tylko ojciec sam prowadził to piśmiem?

Ludwik Wiśniewski: Był zespół redakcyjny tego piśmiemka. Chyba trójka nas. No i mówię... To miał być łącznik, jeszcze raz mówię, próbowaliśmy to wysyłać do wszystkich klasztorów. Nie było wtedy... Czuliśmy potrzebę pewnego... stworzenia pewnego łącznika. Po pierwsze, czuliśmy też potrzebę stworzenia tego pomostu między ojcami a klerykami. Między młodymi i starszymi. A po trzecie, ja już tego pisma, tych numerów nie widziałem wiele, wiele, wiele lat,

ale tak mi się wydaje, jednak były próby deptania pewnych ścieżek myślenia, w tym kierunku czy w tamtym kierunku.

Mateusz Wyrwich: Czy nie obawiał się ksiądz, że to pismo trafi w ręce cenzury i w jakiś sposób będziecie prześladowani przez Służbę Bezpieczeństwa?

Ludwik Wiśniewski: W pewnym momencie, w którymś tam roku w pewnych klasztorach to rzeczywiście trafiło. Nie potrafię w tej chwili całego tego przebiegu opowiedzieć. Zabrane zostały jakieś numery przez Służbę Bezpieczeństwa przy jakieś okazji. Coś takiego było oczywiście. Z tym że to nie było to pisemko, które miało choćby cień opozycyjności. To jeszcze nie te czasy. My, może warto to powiedzieć, ja tak niekiedy się zastanawiam, próbując tworzyć nasz sposób myślenia, więc oczywiście... mówiło się, tak jak w naszych rodzinach, kiedy ta komuna upadnie, ale troszkę było w naszym myśleniu takiego myślenia utopijnego, że może jednak my młodzi potrafimy z tymi komunistami się dogadać, skoro ci starzy nie potrafią. Coś takiego było w naszym myśleniu. Ja później, kilka lat dopiero potem doszedłem do wniosku, że ten system jest niereformowalny i tu marzenia o tym, że potrafimy się jakoś rzeczywiście realnie dogadać, są tylko i wyłącznie utopią.

Mateusz Wyrwich: Czy właśnie to myślenie o ewentualnym dogadaniu się to był taki, można by powiedzieć quasi bunt pokoleniowy? Czy, powiedzmy sobie, lekka kontestacja myślenia rodziców?

Ludwik Wiśniewski: Pewnie nie była to kontestacja myślenia rodziców. Natomiast lekka kontestacja myślenia decydentów kościoła polskiego. Łącznie z prymasem Wyszyńskim.

Mateusz Wyrwich: No, bo wreszcie nie była to sytuacja, w której cokolwiek mogło zapowiadać, że można było się z komunistami dogadać.

Ludwik Wiśniewski: Dlatego powiedziałem, że to jednak pewna utopia, to pewne wyobrażenia młodego człowieka, który się nie zetknął właściwie realnie z tą siłą i z kłamstwem tego systemu. Że to jednak myślenie było jakby oderwane jednak trochę od rzeczywistości.

Mateusz Wyrwich: Dobrze. Czy miał ksiądz wyobrażenie o kapłaństwie po święceniach, które ojciec dostąpił w roku którym?

Ludwik Wiśniewski: Byłem święcony w 1961 roku. Oczywiście miałem. Nie potrafię tego odtworzyć. Doskonale wiem, pamiętam, że sobie sformułowałem jakieś takie trzy momenty obawy najpierw. Trzecia, czy się bałem. Nie potrafię w tej chwili nawet odtworzyć, czego ja się bałem. Wiem, że po iluś tam latach stwierdziłem nie, że rzeczywiście można się bać, ale akurat nie tego, czego ja się bałem przed święczeniami. Nie potrafię tego odtworzyć. Natomiast święcenia przyjmowaliśmy z wielkim drżeniem. Ze świadomością, że dzieje się coś wielkiego. Z tym że święcenia przyjmowaliśmy w zakonie. Ciągłe nam mówiono, że swoje życie, swój czas oddajecie zakonowi i zakon posyła tam, gdzie chce. I z takim nastawieniem jednak te święcenia przyjmowaliśmy.

Mateusz Wyrwich: A zatem gdzie ojca powstał zakon, jako pierwsza postać kapłańska?

Ludwik Wiśniewski: Prowincjałem był wtedy ojciec Edmund Sochacki, który mnie znał od dziecka, prawie od dziecka. I chyba dosyć lubił. Natomiast w prowincji polskiej sytuacja w 1961 roku przy końcu i w pierwszej połowie 1962 roku była taka, że w jednym z klasztorów powstał... Zdarzyła się ogromnie nieprzyjemna sytuacja. Bunt. Groziło rozwiązaniem, wyrzuceniem w ogóle dominikanów. I na tę placówkę zostałem posłany. A był to Gdańsk.

Mateusz Wyrwich: Czy możemy powiedzieć o tym buncie coś więcej? Kto był twórcą tego wydarzenia?

Ludwik Wiśniewski: To była jakaś [sytuacja] w tym Gdańsku... myślę, że to ujawnił się w pewnym stopniu konflikt między młodymi i starymi. To po pierwsze. Po wtóre, jakieś tam osobiste ambicje pewnie zagrały. Klasztorem rzeczywiście rządzili starzy. Było trzech w tamtych... To był 1960 rok, już to tyle lat. Było trzech młodszych, którzy usiłowali swoje własne porządki, a może nawet spośród siebie jakiegoś przełożonego wyłonić. To się nie dało. Czołowa postać, czołowy ojciec, który był jakimś takim sztandarem, usiłowano go przenieść, i wtedy się rozeszła wieść, że to niesprawiedliwość. Ludzie otaczali klasztor, żeby przypadkiem go nie wywieźć. I to wszystko było niesłychanie nieprzyjemne.

Mateusz Wyrwich: O kogo chodziło, tego, którego chciano wywieźć?

Ludwik Wiśniewski: Ojciec Teofil Sibilski. On jeszcze żyje, ale żyje poza zakonem. Bardzo zdolny człowiek, miał młodzież, uczył młodzież. Tak... Więc... Może nie będziemy opowiadać już w szczegółach, jak to wszystko przebiegało. W każdym razie to było coś niesłychanie trudnego.

Mateusz Wyrwich: Proszę powiedzieć, kiedy ojciec poczuł ten dyskomfort między sobą i między ustrojem komunistycznym, jaki wówczas panował?

Ludwik Wiśniewski: Ja myślę, że dyskomfort to odczuwałem w swojej młodości. Natomiast w sposób zasadniczy na mnie wpłynęło pewne wydarzenie. Zaraz o nim opowiem. Które później zadecydowało o tym, że... To jest rok 1970 i wydarzenia w Gdańsku w roku 1970. Wyjście ze Stoczni, strajki, śmierć, spalenie domu partii. Oglądanie tego wszystkiego, co było. Zobaczenie, kilka razy komuś tłumaczyłem, w każdym razie tak to sobie sformułowałem, wydawało mi się, że w oczach ludzi zobaczyłem wtedy nienawiść. Ja w 1970 roku sobie już świadomie zupełnie powiedziałem, że jeżeli coś warto, dlaczego... po coś warto żyć, to po to warto, żeby ludzi bronić przed nienawiścią, bo nienawiść wszystko rozsądza i wszystko niszczy. To wszystko zobaczyłem w grudniu 1970 roku. Wcześniej w jakiś tam sposób to było. Odczuwało się dyskomfort, odczuwało się tylko tak. Natomiast wstrząs dla mnie, wstrząsem dla mnie był rok 1970 i on o wszystkim zadecydował. Myślę zresztą, dla mnie osobiście Solidarność rozpoczęła się w roku 1970. Myślę, że to był decydujący moment. Myślę także, że Gdańsk jako miasto swoją tożsamość uzyskało właśnie w roku 1970. Ja z Gdańska jeszcze przez dwa lata po tym 1970 roku chodziłem na pielgrzymkę ze swoją młodzieżą, ze studentami, na pielgrzymkę pieszą z Warszawy do Częstochowy. Otóż gdziekolwiek się pokazaliśmy i powiedziano „grupa z Gdańska”, natychmiast dostawaliśmy straszne brawa i oklaski. I to rzeczywiście był moment dla mnie zrodzenia się tożsamości miasta Gdańska. To, co później było wszystko, rok 1980 dla mnie jest jakby kon-

tynuacją, czy może nawet pewnym wynikiem tego, co się dokonało w roku 1970 i jeszcze raz powtarzam, dla mnie osobiście to było wydarzenie dla mnie zupełnie zasadnicze.

Mateusz Wyrwich: Czy ojciec był podczas tego, co się działo w Gdańsku w 1970 roku obserwatorem tych wydarzeń bezpośrednim czy też tylko pośrednim?

Ludwik Wiśniewski: W wydarzeniach grudniowych w Gdańsku byłem... oczywiście nie uczestnikiem. Nie byłem w Stoczni, nie wychodziłem ze Stoczni, nie byłem w tłumie, natomiast byłem cały czas na ulicy. Przez pewien czas, kiedy było już bardzo gorąco, pierwszego dnia, u mnie to tak się układa wszystko: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, tamte wydarzenia, tak to zostało zakodowane. W pewnym momencie, kiedy było bardzo już gorąco, kiedy właśnie pierwszego dnia, już pierwszego dnia usiłowano podpalić dom partii, wtedy byłem w klasztorze pallotynów. Pallotyni mają swój klasztor w Gdańsku przy kościele świętej Elżbiety, przy samym domu partii. Staliśmy w tym oknie i doskonale myśmy stamtąd, z wysoka widzieli, co się dzieje tam na tej ulicy, gdzieś tam, począwszy od stoczni przy dworcu głównym i tutaj przy domu partii. Przez wszystkie te dni byłem. Wieczorami wprowadzono godzinę policyjną. Do dzisiaj pamiętam, niektórzy to anegdotycznie to opowiadają, drugiego dnia podpalono dom partii. Dom partii płonął. Była godzina policyjna, to był wtorek. Ja wyszedłem na wieżę kościelną. Drugiego dnia, we wtorek, płonął już dom partii. Oczywiście to widziałem. Wieczorem była godzina milicyjna, a więc nie można było wychodzić od godziny... Już w tej chwili nie jestem pewien, zdaje się, że od 20:00. Nie można było wychodzić do miasta. Wyszedłem wtedy na wieżę Kościoła Świętego Mikołaja i do dziś pamiętam, jak patrzyłem na ten płonący, na płomień, na płonący, dymiący dom partii i trochę, muszę powiedzieć, wtedy współczułem komunistom.

Mateusz Wyrwich: Czy od współczucia jeszcze myślał może ksiądz o tym, że to jest początek końca PZPR-u?

Ludwik Wiśniewski: Chyba wtedy w takich kategoriach nie myślałem, że to jest początek końca. Chyba nie. I przyjmowało się... Natomiast mieliśmy, powiedzmy, na tych różnych etapach, kiedyś to mieliśmy takie poczucie, że jednak jutro będzie trochę inaczej, niż było dzisiaj. Że jednak coś tu się dzieje i w jakiś sposób idziemy naprzód. Do czego idziemy? Nie bardzo żeśmy to wiedzieli.

Mateusz Wyrwich: Jesteśmy przy roku 1970. Powiedział ksiądz, że było to olbrzymie wydarzenie, że obserwował je ojciec z wieży kościoła, ale oprócz tego fizycznego... tych wydarzeń, które się działy, zbrodni komunistów, strzelania, wówczas następowały jakieś przewartościowania w relacji ojciec i rzeczywistość ta reżimowa. Czy tak?

Ludwik Wiśniewski: Tak jest. Jeszcze raz powtarzam, to był dla mnie przełom. W myśleniu także moim to był przełom i że doświadczyłem zła. Może jeszcze jeden szczegół warto powiedzieć, czego byłem świadkiem, bo później władze, jak zresztą przez całe te lata, tłumaczyły, użyły podobnego argumentu, jak przez wszystkie lata, mówiąc właśnie: „chuligani”, „męty”. Zaczęli rabować sklepy. Otóż ja widziałem faceta, policja, milicja tam gdzieś stoi, ja widziałem faceta z drągiem, który podchodził do wystawy, wybijał tę szybę i szedł do następnej wystawy sklepowej. I oczywiście jak przechodnie różni zobaczyli, że w ogóle jest swobodne wejście do sklepu, to wchodzili przez okno i coś tam brali. Ale było to spowodowane.

Mateusz Wyrwich: Czyli z tego, co rozumiem, powiedział ojciec, że milicja widziała to, co robił ten człowiek, drągiem rozbijając okna, czy tak?

Ludwik Wiśniewski: Ja taką mam świadomość.

Mateusz Wyrwich: Czy rok 1970 był takim wydarzeniem traumatycznym dla ojca?

Ludwik Wiśniewski: Czy traumatyczne wydarzenie? Już powiedziałem, ja nie potrafię powiedzieć, czy to jest traumatyczne, czy nietraumatyczne. Dla mnie rok 1970, grudzień 1970 roku to było wydarzenie decydujące. To było wydarzenie, które otwierało mi. To tak jak niektórzy mówią, że się ktoś obudził. Otóż to było obudzenie. Dla mnie to było obudzenie z jakiegoś snu. Zrzucenie jakichś, nie wiem, mrzonek o tym, że tu się da z kimś tam dogadać. Stanął przede mną problem, oczywiście ja jestem księdzem, ale trzeba przyłożyć rękę do tego, żeby zacząć ten system kruszyć. Nie ma innego wyjścia. Nie można żyć jak niewolnik. Nie można żyć na klęczkach. To jest to, co ja zrozumiałem w roku 1970.

Mateusz Wyrwich: Konsekwencją takiego myślenia w pewnym momencie na parafii w świętym Mikołaju, parafii dominikańskiej w Gdańsku pojawili się jacyś młodzi ludzie. Jak to było? Co to było? Jakie to było spotkanie pierwsze, z tego, co sobie ojciec przypomina?

Ludwik Wiśniewski: Więc muszę jedną rzecz powiedzieć, która mnie denerwuje. Jak przychodzą do mnie ludzie i pytają o różne rzeczy, także jak pan mnie pyta, to pytają o wydarzenia polityczne. A najważniejsze były wydarzenia duszpasterskie. Od pierwszego dnia, kiedy znalazłem się w Gdańsku, przychodzili młodzi ludzie, z którymi byliśmy, jeździliśmy, z którymi cieszyliśmy się, bawiliśmy, chodziliśmy, urządzaliśmy rajdy, urządzaliśmy spływy kajakowe i tak dalej. I to wszystko było niesłychanie ważne. A w tym wszystkim w którymś momencie także zjawili się młodzi ludzie, już wtedy ukształtowani jakoś opozycyjnie, tak to nazwijmy. W pewnym sensie dojrzali politycznie, którzy po prostu byli, przyszli i zacząłem im towarzyszyć. Natomiast jeszcze raz powtarzam, no... Mnie przede wszystkim pytają o działalność opozycyjną czy quasi opozycyjną, jak gdyby to było rzeczywiście najważniejsze.

Mateusz Wyrwich: Powiedział ksiądz o tym wydarzeniu, że ciągle jest ksiądz pytany o te wydarzenia polityczne. Niemniej jednak, mimo że wyście byli ludźmi zupełnie niewinnymi. Już od momentu, kiedy ojciec się pojawił latach 60., a nawet bez ojca, kościół dominikański, nie tylko zresztą kościół dominikański, był obserwowany przez Służbę Bezpieczeństwa, więc jakkolwiek ojciec by cokolwiek prowadził, to i tak w jakiś sposób można by powiedzieć, byłby ksiądz podejrzany o to, że zajmuje się polityką. Wszystko, co było niezwiązane, jak przecież wiemy, z akceptacją PZPR-u, było polityczne. Każde poruszenie się człowieka. Proszę mi powiedzieć właśnie, czy wówczas ojciec już nie działając politycznie, jeszcze zauważył „opiekę” Służby Bezpieczeństwa? Używam w cudzysłowie słowa „opieka”. Zainteresowanie milicji czy Służby Bezpieczeństwa tym, co ojciec robił w Gdańsku.

Ludwik Wiśniewski: W pierwszych latach swojego pobytu w Gdańsku specjalnie tego nie zauważałem. Specjalnie

tej „opieki” nie zauważałem. Jakkolwiek było wiadome, że organizowanie obozów, wyjazdów jest nielegalne. Oni chcieli, żeby to było zgłaszane, rejestrowane, podawane nazwiska. Myśmy tego oczywiście nie robili. Ja w pierwszych latach nie odczuwałem tego ciśnienia. Przy tym w pierwszych latach swojego kapłaństwa to sobie tak myślałem, czy oni mnie wezwą, jak to się zachować, kiedy wezwą. Komuś już opowiadałem, to gdzieś jest nawet chyba napisane. Któryś z księży, ja nie wiem, czy nie ksiądz, słynny taki ksiądz, który był w Rawiczu, nie w Rawiczu, we Wronkach więziony, ksiądz prałat Zator-Przytocki. Chyba on kiedyś powiedział, kiedyśmy rozmawiali, mówi: „Jak cię wezwą na jakieś rozmowy czy przesłuchania, to sprawą pierwszą, którą trzeba zrobić, to zdenerwować przesłuchującego. Bo oni będą ci mówili: «ależ mamy szacunek dla księdza, my rozumiemy». Będzie udawał, że jest taki przyjacielski. Trzeba go zdenerwować, żeby wyszła z niego prawda i dopiero wtedy rozmawiać”. Taką wtedy naukę. Później już w okresie tym późniejszym, kiedy była opozycja, to oczywiście został opracowany cały sposób zachowania tam, przy tych spotkaniach. Ale mówię, z tych lat jeszcze 70., ja od kogoś otrzymałem tego rodzaju wskazówkę.

Mateusz Wyrwich: Właśnie, czy ksiądz Zator-Przytocki, który był duszpasterzem prześladowanym w latach 50., jest symbolem tego prześladowania reżimu stalinowskiego w 50., który wówczas, kiedy ksiądz był w Mikołaju, posługiwał w Katedrze Gdańskiej, w kościele Najświętszej Marii Panny, czy to był właśnie dla księdza jakiś symbol tego oporu przeciwko komunistom?

Ludwik Wiśniewski: W jakimś sensie był symbolem rzeczywiście oporu. Natomiast trzeba pamiętać, że to był ksiądz diecezjalny. To nie był, powiedzmy, mój wychowawca, nie wiem, religijny, ale także polityczny. Gdzieś tam on przychodził do nas na jakieś różne uroczystości. I te nasze spotkania były raczej takie dosyć przypadkowe i marginalne. Niemniej, był to ktoś, na kogo się patrzyło z bardzo wielkim szacunkiem i który przez całą swoją obecność już dawał pewną lekcję.

Mateusz Wyrwich: Czy możemy mówić właśnie, użył ksiądz sformułowania takiego: „wychowawca polityczny”, czy możemy mówić o latach 60. bądź początku lat 70., o kimś takim, kogo uznałby ojciec za swojego wychowawcę politycznego?

Ludwik Wiśniewski: Lata 60. i 70. - nie. Nikogo takiego... Nie mogę o nikim powiedzieć, że to jest właśnie pod tym względem, powiedzmy, politycznym, także mój wychowawca.

Mateusz Wyrwich: Czyli ojciec, stając się sam wychowawcą, tak byśmy powiedzieli w cudzysłowie „politycznym”, nie miał jakiegoś bardzo konkretnego wzorca, którego mógłby ojciec naśladować.

Ludwik Wiśniewski: Nie miałem wzorca takiego politycznego, ale myślę, że duszpasterskiego też nie miałem specjalnego wzorca. Mnie kiedyś, już nie wiem kto, pytał, czy ojciec nie czuł się... Przyjechał młody ksiądz zagubiony i ktoś mówi, nie wiedziałem co... Ja nie miałem nigdy takiego poczucia. Znalazłem się wśród ludzi i wydawało mi się zawsze, że wiem, co należy robić.

Mateusz Wyrwich: Nie mając wzorca, nie mając nauczyciela, mistrza w sensie politycznym, staje się ksiądz dla

młodych ludzi, sam będąc zresztą młodym człowiekiem, wzorcem. Pierwsze takie spotkanie, które Służba Bezpieczeństwa odnotowała jako polityczne w relacji młodzież-ksiądz, to rok 1972. Ojciec powiedział o roku 1971.

Ludwik Wiśniewski: W roku 1971 zgłosili się na religię, może to warto jeszcze powiedzieć, że ja zajmowałem się studentami, ale miałem dla maturzystów także religię. Traktując te spotkania z maturzystami jako pewne drzwi do duszpasterstwa ewangelickiego. W roku 1971 we wrześniu przyszła grupa maturzystów zapisać się na religię. Ja mówię: „Fajnie. Do wyboru cztery różne terminy. We wtorek o takiej godzinie, w środę o takiej”. A oni mówią: „Ale my chcemy sami”. „No, jak to sami?” „No, tak, bo my mamy swoje własne problemy”. „No dobrze”. I znaleźliśmy taki termin. Była to grupa, której liderami byli młodzi ludzie z jednej klasy, z I Liceum. Z jednej klasy. Później się okazało, że oni już mają za sobą swoją przeszłość. Także tę przeszłość opozycyjną. I w ten sposób zaczęły się z nimi spotkania. To była dla nich jakaś taka swoista religia. Z tym że oni... To była grupa, która rosła, ale to oni sami się dobierali. Oni sami nowych przyprowadzali. To były spotkania, na których rozmawialiśmy o wszystkim. Jeżeli ktoś by mnie pytał, czy miałem jakichś mistrzów, jeśli chodzi o życie społeczne i polityczne, to do pewnego stopnia ci młodzi ludzie. Ja myślę, że to było to sprzężenie zwrotne. Coś tam ja im pewnie dawałem, ale oni także przez swą świadomość. Ja nieco odbiegnę, tu w tej chwili rozmawiamy w Warszawie, ja wczoraj byłem we Wrocławiu i miałem takie krótkie rekolekcje dla młodych ludzi, dla swoich, że tak powiem, wnuków dawnych. To były takie rekolekcje, na których ja coś mówiłem, ale też starałem się, żeby oni mówili. Oni mówili świetne rzeczy, ci młodzi ludzie. Tylko trzeba po prostu stworzyć okazję, żeby oni mieli to... żeby oni to mogli wypowiedzieć. I to była ta sytuacja także i wtedy w Gdańsku. To byli młodzi ludzie, maturzyści, ale otwarte głowy. Oni mieli swoje przemyślenia. Za nimi już stały różne lektury. I wtedy, kiedy myśmy się spotykali, zawsze próbowaliśmy jakiś temat wcześniej już ustalić, o czym za tydzień będzie. Kiedyśmy się spotykali, to rzeczywiście były to spotkania niesłychanie jakieś takie płodne.

Mateusz Wyrwich: Kim byli ci młodzi ludzie oprócz tego, że byli licealistami? Chodzi mi o nazwiska. Pytam celowo, ponieważ dzisiaj odgrywają ogromną rolę w polityce państwa.

Ludwik Wiśniewski: To byli młodzi ludzie, jak już powiedziałem, z jednej klasy, z liceum. Chyba siódemka. Chyba siódemka, może ósemka. Z tym że czwórka, nazwiska czterech, czy powiedzmy, czterech z nich stało się takimi filarami tej grupy. Jest to: Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, Grzegorz Grzelak i Wojciech Samoliński.

Mateusz Wyrwich: Proszę ojca, właśnie, ci czterech ludzie, o których mówiliśmy, byli liderami tych grup, takimi nieformalnymi, prawda? Natomiast jak wcześniej ojciec powiedział, było mnóstwo ludzi, którzy przychodzili do ojca. No i co im ojciec proponował? Bo ja też słyszałem, że przychodzili do ojca, ponieważ ojciec miał kawę, jak to ładnie mówiono wówczas: „kawodajny ksiądz”. A kawa była, jak wiemy, reglamentowanym wówczas luksusem.

Ludwik Wiśniewski: Myślę, że tak, myślę, że to trochę jest żart, a trochę rzeczywiście prawda, tak mówiono. Przychodzili, „bośmy się dowiedzieli, że kawodajny ksiądz”. Natomiast ja dawniej miałem różne grupki. Ta grupa, że tak powiem, polityczna była, była jakaś grupa poetów, którzy czytali jakieś swoje wiersze. Niczego nie rozumiałem z tego, co oni czytali. No, ale chcieli przychodzić, więc przychodzili. Natomiast myślę, że chodziło o spotkania. Młodzi ludzie potrzebują gdzieś się spotkać. Spotkać się i zwyczajnie się czuć nieskrępowanym. Myślę, że to tak. Natomiast

mówię, jeszcze raz powtarzam, ta grupa Halla, on był niekwestionowanym liderem tej grupy. Ta grupa Halla miała swój program. Oni ten program usiłowali realizować, obgadywać. To było coś zupełnie takiego specyficznego.

Mateusz Wyrwich: O czym rozmawiał ksiądz z nimi? Jakie oni zadawali pytania? Czy to były pytania, których oni nie potrafili zadać rodzicom? Czy ich rodzice nie potrafili na to odpowiedzieć? Jakie to były pytania?

Ludwik Wiśniewski: Z tą grupą, niekiedy rzeczywiście było tak, że rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Ale najczęściej była pewna podstawa. A jakiś artykuł. Do dziś pamiętam taki artykuł, chyba na kilku spotkaniach był omawiany, Leszka Kołakowskiego, „Rewolucja bez rewolucji”. To on napisał? Chyba on napisał. Później było, zdaje się, omawiane, to posłanie Sołżenicyna „Nie kłamać”. Jakies jeszcze, już w tej chwili nie pomnę. Jakies jeszcze różne pewne artykuły, czy pewne rzeczy, które się okazały. A niekiedy były, wnosilem tematy rzeczywiście ściśle religijne. Mnie ogromnie zależało na tym, żeby oni jednak czerpali także z tego kościoła coś.

Mateusz Wyrwich: Czy to była dynamiczna młodzież, czy taka zahukana, czy też ojciec czuł, że oni mogą odegrać jakąś rolę w przyszłości niedalekiej?

Ludwik Wiśniewski: To była młodzież niesłuchanie dynamiczna, z wielkimi ambicjami. Ja w pewnym momencie, troszkę tu już wybiegnę, doszedłem do wniosku, że trzeba tę grupę zapoznawać z ludźmi, którzy coś znaczą. Pierwsze takie spotkanie, na które przyjechali oni tutaj do Warszawy zresztą, i to było spotkanie w naszym klasztorze na Freta, to było spotkanie z Bogdanem Cywińskim. Pamiętam, że Bogdan przyszedł. Ja przedstawiłem tę grupę, na co Bogdan mówi: „A ja też w swojej młodości miałem taką grupę, ale się rozleciała”. A oni mówią: „No nie. To nie o nas”. I, powiedzmy, na tle tego wszystkiego, co powstawało jeszcze w tej Polsce Ludowej, to rzeczywiście byli... Wcześniej powstał i jakoś potrafili niesłuchanie długo razem ze sobą pracować i coś jednak zrobili.

Mateusz Wyrwich: Byli grupą żywą, zdeteminowaną, to byli przyjaciele, proszę coś więcej o nich powiedzieć.

Ludwik Wiśniewski: Ja wiem, że oni rzeczywiście byli żywi. Byli żywi. Zwłaszcza Olek Hall, pamiętam, bardzo pilnował, żeby te spotkania regularnie się odbywały i żeby na nich byli możliwie wszyscy. Dobrze pamiętam jakies takie spotkania, jak kogoś nie było. I mówią, że on ma coś ważniejszego, na co on: „Jak on może mieć coś ważniejszego od naszego spotkania?”. Było to w nich dosyć tak... Od tego czasu, muszę powiedzieć, ciągle szukam, czasem niekiedy mówię młodym, bardzo młodym ludziom, trzeba zaczynać wcześniej. I jeżeli chcecie coś zbudować, coś rzeczywiście trwałego, to zbudujecie wtedy, kiedy będą pomiędzy wami więzy. Kiedy nie tylko się będziecie znać, ale będziecie sobie ufać i wręcz będziecie się przyjaźnić. Dopiero wtedy to stworzy... to da wam jakąś taką siłę, taki dynamit, że rzeczywiście coś potraficie zbudować.

Mateusz Wyrwich: Wspominał ksiądz o tej młodzieży właśnie, która była taka młoda, licealna, dojrzała i mówi ojciec o tym, że ilekroć się spotyka dzisiaj z młodymi ludźmi, to mówi zawsze, że po prostu warto zaczynać wcześniej, jeśli ma się jakiś ideał i jakąś ideę się chce zrealizować.

Ludwik Wiśniewski: Ja myślę, że to jest działalność i dzieje tej grupy gdańskiej, która później stworzyła młodą Polskę, to jest dobry właśnie przykład. Oni byli zaprzyjaźnieni ze sobą. Oni byli ze sobą zżyci. I to dało owoce. Jak się spotykam właśnie z młodymi ludźmi, to to im próbuję pewne tło tłumaczyć. Wczoraj byłem we Wrocławiu, miałem takie krótkie rekolekcje dla grupy, dla dzieci moich dawnych studentów. Dopuszczałem ich do głosu. Niestychanie pięknie mówili. W młodym człowieku jest mnóstwo nie tylko dobra, ale także i tej jakiejś takiej żywej prawdy. I to trzeba wykorzystać. Więc to rzeczywiście tak jest. Ja młodym mówię, jak chcecie rzeczywiście coś zbudować dobrego, trwałego, to pierwszą rzeczą jest zadbać o to, żeby was łączyła nie tylko znajomość, ale żebyście mieli dla siebie zaufanie. Żeby w miarę możliwości także was łączyła przyjaźń. Wtedy rzeczywiście potraficie coś ważnego, dobrego zbudować i dla siebie, i dla innych ludzi.

Mateusz Wyrwich: Czy miał wówczas ojciec świadomość, 1972, 1973 rok, że zaczyna się rodzić jakaś działalność polityczna, czy jakaś formacja polityczna? Mówimy jeszcze o tych wczesnych latach 70.

Ludwik Wiśniewski: Miałem świadomość. Przy tym miałem świadomość, że rodzi się coś oryginalnego.

Mateusz Wyrwich: Kiedy przyjechał ksiądz w 1972 roku do Lublina, był już ojciec postacią znaną. Mówili o ojcu ludzie, którzy przyjeżdżali z Gdańska do Lublina, którzy przyjeżdżali na studia, a było ich kilku, jak to było?

Ludwik Wiśniewski: Myślę, że nie byłem postacią znaną. Legendy dopiero zaczęły gdzieś tam powstawać... Moja obecność, powiedzmy, w Gdańsku była pewnym... To nie był jakiś taki... Nie przyjechałem z jakąś tam opinią wielką. Natomiast myśmy stopniowo, to bardzo powoli to duszpasterstwo lubelskie się tworzyło. My w Lublinie jesteśmy na starym mieście w zafku zupełnie takim. Więc to duszpasterstwo bardzo, bardzo powoli się tworzyło.

Mateusz Wyrwich: Kto przychodził wówczas z osób dzisiaj znanych? Czy mógłby ksiądz wymienić?

Ludwik Wiśniewski: Znaczą, trudno latami to jakoś podzielić. Ja nie wiem, kto w którym roku, nie pamiętam, kto w którym roku przyszedł z ludzi znanych, ale znowu wymienię przede wszystkim tych, którzy są, że tak powiem, z pierwszych stron gazet. Nie wiem, czy akurat oni są najważniejsi. A więc Bogdan Borusewicz, Janusz Krupski. Cały szereg jeszcze innych ludzi. Jacyś tam... Jeżeli to jest akurat postać, to Marian Piłka, powiedzmy Adam Pejzio, który był wojewodą. Cały szereg polityków.

Mateusz Wyrwich: Jak różne były te spotkania od tych, które były w Gdańsku, te lubelskie?

Ludwik Wiśniewski: Duszpasterstwa akademickie to są msze, to są konferencje, to są rekolekcje, to są pielgrzymki, to są wyjazdy na obozy i to wszystko było. I było także sprowadzanie, zapraszanie różnych ludzi, którzy rzeczywiście coś w tym kraju znaczą. Osobą, która zaznaczyła się w duszpasterstwie akademickim w Lublinie, która w moim przekonaniu nadała nawet taki pewien ton temu duszpasterstwu, to był Stefan Kisielewski. Ja Stefana Kisielewskiego kilkakrotnie zapraszałem i zawsze wtedy, kiedy on przyjeżdżał, było wesoło. Trzeba pamiętać, że ci wszyscy ludzie, może młodzi ludzie niech wiedzą, w tamtych czasach, to jest 1972 rok, oczywiście było mnóstwo dowcipów na temat

władzy, ale jednak te dowcipy nie zawsze wypowiadało się głośno. Za chwileczkę jeszcze powiem o takim procesie jednego ze studentów właśnie za dowcipy. To były jednak jeszcze czasy, kiedy chodzić bardzo oficjalnie do kościoła i udzielać się w tym kościele dla studentów, zwłaszcza świeckich uczelni było jakoś niebezpiecznie. I tam Stefan Kisielewski przyjeżdża chyba ze trzy razy, a może nawet więcej był u mnie w Lublinie, przyjeżdża i opowiada dowcipy polityczne o aktualnych politykach. Pamiętam pierwsze jego takie wystąpienia. Opowiada coś tam i ktoś ośmielił się tak lekko, ale głośno się zaśmiać. Ale Stefan dalej opowiada, więc jakiś czas już śmiechy są troszkę głośniejsze. Wreszcie cała sala zaczęła się śmiać. Ja sobie wtedy powiedziałem: „No nie. Już w takim razie powoli mamy duszpasterstwo”. Więc tak to jakoś wyglądało.

Mateusz Wyrwich: Przypomnijmy, że wówczas za opowiadanie dowcipów można było znaleźć się w więzieniu. Nie tylko w latach 50., ale i 60. czy 70. Między innymi słynny proces już Szpotańskiego, który za swój poemat o Gęgaczach został skazany na kilka lat więzienia.

Ludwik Wiśniewski: I jeden ze studentów naszych, Stanisław Kruszyński został skazany za dowcipy, które pisał do swojej własnej żony i swojego własnego brata w listach.

Mateusz Wyrwich: I to były lata 70.

Ludwik Wiśniewski: To były lata 70 i to był student. Ja na te rozprawy chodziłem. Zresztą wielokrotnie jak ktoś był z naszych, z moich bliskich sądzony, to ja chodziłem. Chodziłem w habicie, w kapie. Starłem się zawsze siąść naprzeciwko sędziego i wpatrywałem się w niego, chcąc go troszeczkę tak zdeprymować. Czy moglibyśmy powiedzieć, że ta młodzież lubelska była inna od tej młodzieży gdańskiej, czy różniła się w jakiś istotny sposób ta młodzież z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, między tą młodzieżą jakieś różnice były a UMCS-em, czy Politechniką, czy Akademią Medyczną istniejącą tam w Lublinie?

Ludwik Wiśniewski: Więc po pierwsze, to były inne czasy. Jednak jak przyjechałem do Gdańska w 1962 roku, 10 lat przed tym, to były inne czasy. Przez szereg lat duszpasterstwo akademickie wyglądało właśnie w ten sposób. Dopiero przy końcu ujawnił się ten wymiar społeczny, czy nazwijmy to także polityczny. Natomiast kiedy już przyjechałem do Lublina, to gdzieś ten wymiar nie dominował, ale od samego początku już był. To były już te inne czasy. Powiedziałem przed chwileczką o Kisielewskim, który nie wygłaszał konferencji religijnej, ale wygłaszał właśnie konferencję taką, no, ja wiem, jak to nazwać... Trochę socjologii, trochę pedagogiki. Więc mówię, ten wymiar to inne czasy. Ten wymiar gdzieś tam w Lublinie przez cały czas był, jakkolwiek ja mam nadzieję, że on nie dominował. Mnie naprawdę zależało na tym, żeby prowadzić duszpasterstwo, a nie prowadzić, nie wiem, przedszkole polityczne. Ja gdzieś tam mówiłem, może warto to jeszcze raz podkreślić, wielokrotnie mówiłem, chyba to w sposób taki wyraźny sobie sformułowałem właśnie w Lublinie, sformułowałem sobie priorytety pracy duszpasterskiej. Miałem trzy priorytety. Pierwszy priorytet to reewangelizacja. Niektórzy studenci chodzili na religię, ale wielu w ogóle nie chodziło na religię w szkole średniej. W związku z czym te momenty ewangelizacyjne, wprowadzenie do sakramentów, wprowadzenie w liturgię, one były niezbędne, one były konieczne i to musiało być. To był ten pierwszy nurt. Drugi nurt, drugi priorytet to było przygotowanie do małżeństwa. studenci są akurat w tym wieku. Gdzie już myślą o małżeństwie. Przy tym

znowu się zmieniło, w tej chwili żyjemy już w czasach, kiedy to małżeństwo się odkłada. W tamtych czasach to się nie odkładało. Jak ludzie myśleli o małżeństwie, to się zaczynali przygotowywać do ślubu. Także ślubu kościelnego. I w związku z tym tutaj skoro oni są w tym wieku, gdzie się poznają, gdzie myślą o małżeństwie, gdzie się zaczynają do tego małżeństwa przygotowywać, ten element musiał być obecny. W związku z czym był cały szereg konferencji, spotkań. Sprowadzałem wielu ludzi, którzy o małżeństwie mówili, czy do tego małżeństwa przygotowywali. I trzeci priorytet, to przygotowanie do zajęcia miejsca w życiu społecznym i także politycznym. I w tym nurcie ot właśnie takie różne rzeczy i różne spotkania, o których my tutaj mówiliśmy.

Mateusz Wyrwich: Wspominał mi przed laty wykładowca, którego ja nazywam profesorem, świętej pamięci pan Zdzisław Szpakowski, że był ojciec człowiekiem niezwyklej wiary, to po pierwsze, a poza tym postrzegał ojca jako człowieka, który chce się ciągle uczyć. Że właściwie z każdym rozmawiał, kto miał coś do powiedzenia. A więc pytał ksiądz o związki zawodowe, o chrześcijańskie związki zawodowe, o czasy przedwojenne, o okres II Rzeczypospolitej. Z czego to wynikało?

Ludwik Wiśniewski: Ja może bym powiedział... W odpowiedzi na to pytanie... Troszkę okrężną drogą chciałbym odpowiedzieć. Ja potrzebowałem zawsze, właściwie przez wszystkie lata, doradców. Zwłaszcza w sprawach społecznych i politycznych. Jeżeli urządzałem jakieś sesje albo planowałem jakieś pewne wydarzenie, takie, że tak powiem, z pogranicza. Z pogranicza religii i kultury, czy kultury a powiedzmy jakiegoś życia społecznego, to potrzebowałem z kimś to omówić. Otóż w Lublinie miałem dwóch takich ludzi, do których biegłem i radziłem się. Pierwszym człowiekiem, który właściwie wszystkie moje pewne propozycje oglądał, ja prosiłem go, żeby on krytycznie na to popatrzył, był Adam Stroński [?]. Wykładowca na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. A drugim właśnie Szpakowski. I Adama, i Szpakowskiego uważałem za ludzi po prostu rozsądnych, obiektywnych i dlatego szedłem do niego i pytałem go o to, czy o tamto. I być może, że on właśnie tak zapamiętał. Ja go pytałem o różne rzeczy ze względu na to, że jeżeli coś robiłem, to nie chciałem, ażeby to był jakiś niewypał.